Cena w Warszawie i na prowincji 40 gr. Nakład 15.300 egz. Nr. 1.

REFLEKTOR

Pismo Tygodniowe

Warszawa, dn. 15 stycznia 1928 r.



Artykuł występny.

(Dlaczego występny — to się okaże z treści artykułu).

Zamiast napisania typowego artykułu wstępnego, utrzymanego przyjętym zwyczajem w górnym tonie mowy pogrzebowej albo odezwy przedwyborczej, — artykułu strasznie poważnego i uroczystego, pełnego haseł najwznioślejszych i obietnic — zapowiedzi najponętniejszych, — postanowiliśmy pomyśleć o tem, o czem nieraz już myśleliśmy w samotności, — pomyśleć — nietyle głośno, ile widomie — o tem: co to jest prasa?

Najwłaściwiej byłoby pójść z tem zapytaniem do źródeł, — zapytać samą prasę o to, czem ona jest istotnie.

Spróbujmy więc.

Weźmy do ręki którykolwiek z poważnych (przynajmniej we własnem mniemaniu) organów prasy, a mówiąc poprostu — dzienników lub gazet, przebiegnijmy okiem szpalty i uważajmy, co się tam pisze o tak zwanej prasie. Poświęciwszy nieco czasu na czytanie, dowiemy się, że wszystkie pisma, oprócz tego, które właśnie czytamy (żadne bowiem pismo samo o sobie nie wyraża opinji — przez skromność!), że wszystkie dzienniki są: jeden — nędznym świstkiem, drugi — szmatą plugawą, ścierką, trzeci — ohydnem piśmidłem, czwarty — płachtą czerwoną, piąty, szósty i t. d. — brukowcem, żerującym na najniższych instyktach tłumu, rynsztokowcem, gnojówką — i wszystkiem, co wyraża się brzmieniem jak najbardziej soczystem, dosadnem, niegodnem, plugawem.

Gdy następnie przerzucimy stronice jednego z tych tak sponiewieranych pism, z których każde w swojem mniemaniu też jest „organem poważnej prasy", znowu wyczytamy dosłownie takie same opinje o innych pismach, także i o tem, które przed chwilą mieliśmy w rękach. Przejrzawszy zaś pism kilkanaście, musimy dojść do przeświadczenia, że prawie wszystkie dzienniki są szmatami, płachtami świstkami.

Więc to byłaby prasa — według opinji same prasy?

Wierzymy na szczęście, że tak nie jest — wiemy nawet, że są pisma, pełniące godnie — w całem znaczeniu tego słowa — swoją służbę publiczną, — ale gdybyśmy chcieli poważnie traktować dziennikarzy wypisujących przytoczone opinje o prasie, musielibyśmy uwierzyć, że to wszystko — prawda.

Kimże zaś są owi dziennikarze, tak pogardliwie odzywający się o placówkach pracy swoich kolegów po fachu.

Posłuchajmy znowu, co oni sami mówią o sobie.

A więc: jeden z redaktorów jest bandytą politycznym, drugi — najemnym sługusem, trzeci — zbirem sanacji, czwarty — pachołkiem endecji, a wogóle wszyscy dziennikarze (oprócz kolegów z własnego pisma lub z pism o podobnym kierunku) są bandytami pióra, nędznymi pismakami, nieukami, szarlatanami, grafomanami.

Więc to byłaby prasa?

Więc to tacy ludzie „robią prasę"? Tacy ludzie mają pretensję przewodzić ogółowi? Tacy ludzie uważają się za wyrazicieli dążeń narodu?

Powtarzamy znowu: wierzymy, że tak źle nie jest — znamy nawet publicystów, którzy przez całe życie posługują się piórem w sposób, godny czci i szacunku najwyższego, — ale, gdybyśmy chcieli poważnie traktować dziennikarzy, piszących jak wyżej o swoich kolegach, musielibyśmy uwierzyć, że to wszystko — prawda.

I oto już po raz drugi dochodzimy do stwierdzenia, że dziennikarzy i tego, co oni o sobie i o prasie piszą, nie można traktować poważnie. Zresztą sami dziennikarze we wzajemnych opinjach o sobie też się

poważnie nie traktują, ale to nie przeszkadza, że o swoich osobach i o swoim zawodzie mają mniemanie bardzo wysokie i bardzo... przesadne.

Czego bo nie można wyczytać w gazetach o prasie i o dziennikarstwie?

Jej królewska mość prasa...

Prasa — to mocarstwo...

Prasa dzierży (koniecznie dzierży, a nie trzyma) w rękach ster opinji publicznej...

Prasa jest wyrazicielką dążeń narodu...

Dziennikarstwo — to najszczytniejszy zawód, — zawód trudny, wymagający wszechstronnego wykształcenia, talentu, wysokich kwalifikacyj moralnych i intelektualnych, rozumu politycznego, bystrości, spostrzegawczości...

Wszystko to bardzo piękne — ale jakże to wygląda w rzeczywistości t. j. na szpaltach gazet?..

Rozum polityczny? — Czytamy artykuł wstępny w jednym z najpoważniejszych organów prasy. Napisany z ogromną pewnością siebie, wskazuje jasno, jak na dłoni, co rząd źle zrobił, a co dobrze, czego nie powinien był zrobić, a co zaniedbał, podaje szereg rad ku uwadze ministrów i polityków, — zdaje się, że nic zarzucić nie można, że gdyby autor został ministrem i gdyby to on całą sprawę poprowadził, odrazu wszystkoby inny obrót wzięło. Cóż jednak z tego, skoro wziąwszy nazajutrz do ręki inny dziennik, dowiemy się, że cały ten mądry artykuł polityczny nie ma sensu, że jest to tylko „tasiemcowata elukubracja niedouczonego grafomana", że właśnie nie tak, a zupełnie inaczej powinien był rząd omawianą sprawę załatwić. I będzie to znowu pisał „poważny" dziennikarz, odznaczający się rozumem politycznym, bystrością sądu, przenikliwśocią i t. d.

Wykształcenie? Ależ tego wykształcenia też jakoś nie widać w artykułach, któremi codziennie karmi nas prasa. Boć przecież nie będziemy chyba za dowód wykształcenia poczytywali tego jedynie, że w każdym „poważnym" artykule znajdziemy kilka obcojęzycznych zwrotów, w rodzaju Quousque tandem — modus vivendi — qui vivra verra — si non e vero... — periculum in mora...

Talent pisarski? Są artykuły doskonale i z talentem napisane, ale... piszą je przeważnie — literaci, którzy tylko przypadkowo — dla zarobku — pracują w dziennikarstwie. Działy literackie, teatralne, muzyczne, nawet sportowe, są w niektórych pismach prowadzone świetnie, te jednak działy nie są „czystem" dziennikarstwem, o jakiem tu piszemy. Artykuły i wiadomości typowo dziennikarskie są stale pisane urobionym już i niezmiennym stylem, znanym ogólnie pod nazwą „stylu dziennikarskiego", który stylem ostatecznie jest — ale czy ma coś wspólnego ze „sztuką" pisania, z literaturą? Literaci mocno w to wątpią.

Cóż jeszcze? Kwalifikacje moralne? Co tu można powiedzieć o moralności i etyce ludzi, którzy— według słów własnych — są bandytami, zbirami, pachołkami? Rozważania na ten drażliwy temat zadalekoby nas zaprowadziły. Słowo „dziennikarz" stało się synonimem „blagiera" — i mało kto przyjmuje poważnie to, co gazety piszą. Dawniej słowo drukowane było stwierdzeniem prawdy. Powiedzenie „czytałem w gazecie" zawsze prawie usuwało wszelkie wątpliwości, — a jakże inaczej jest dzisiaj? Gdyby się udało przeprowadzić analizę chemiczną materjału, jaki nam codziennie przynoszą gazety, z pewnością okazałoby się, że głównemi pierwiastkami składowemi wielu, wielu gazet są kłamstwo, oszczerstwo, tendencyjne i fałszywe przedstawianie faktów, a wogóle blaga — blaga — blaga.

Więc to byłaby prasa?

Ależ to w najlepszym razie — tylko... magiel elektryczny!

A najgorsze jest to, że magiel ten w ostatnich czasach nabrał takiego rozpędu, iż przeciętny czytelnik gazet, nie znający zakulisowej strony całej roboty, nie może już odróżnić magla od prawdziwej prasy dziennikarskiej, a maglarza od publicysty. I co najdziwniejsze, że ten buńczuczny rozpęd nie znajdzie żadnego hamulca ani w prawdziwej prasie ani też w towarzystwach literatów i dziennikarzy, które przecież mogłyby mieć w tej sprawie dużo do powiedzenia.

Temu trzebaby zaradzić. Wielki już czas, aby poskromić nieco to „maglarstwo".

Z tą myślą zapalamy nasz „Reflektor", który zresztą będzie oświetlał wszystkie dziedziny życia społecznego.

Lecz cóż to jest prasa?

W rozważaniach naszych dochodzimy do wniosku, że prasa — jako pojęcie pewnej organicznej całości — nie istnieje. Są tylko pisma — i pisma: dzienniki, tygodniki, miesięczniki — z których każde w odmienny sposób pojmuje zadania t. zw. prasy.

Dla nas — prasa — to służba publiczna — zapomocą słowa drukowanego — w dążeniu powszechnem do osiągnięcia ideałów Dobra. Piękna, Prawdy i Sprawiedliwości. Tę służbę chcemy pełnić wedle sił i możności, w szergu innych pism, które podobnie jak my rozumieją swoje obowiązki.

Z pismami, pojmującemi *godnie* zadania publicystyki będziemy współpracować, — z „maglem" będziemy walczyć.

Wiemy, że zadanie nasze nie będzie łatwe po takim wstępie. Wiemy, że gazeciarstwo, które w treści niniejszego artykułu ujrzy swoje oblicze, poczuje się dotknięte naszemi słowami, że poczyta nam za występek tak niesłychane zlekceważenie nietykalnego tabu — „prasy" (dlatego to nazwaliśmy nasz artykuł — występnym). Wiemy też, jakie nas spotka przyjęcie ze strony różnych „organów": albo spadną na nas gromy oburzenia, zarzuty nieuctwa i grafomaństwa, kpiny, szyderstwa, — albo też spotkamy się z tak zwanem „pogardliwem milczeniem" („Wykształcony dziennikarz napisałby w tem miejscu — tertium non datur).

Przewidujemy to zgóry — i... puszczamy w świat pierwszy snop promieni „Reflektora".

Chcemy pomóc Marszałkowi.

W utworach niektórych pisarzy i poetów spotyka się motyw, wyrażający myśl, że Bóg musi być znużony — zmęczony dziełem wiekuistego tworzenia i że człowiek, będący cząstką Boga, powinien Mu pomóc.

Jest w tej myśli nieco naiwności, pozornej zresztą, ale jest też i wiele piękna.

Bóg jest niepojęty, mimo to jednak człowiek, ulegając przyrodzonej skłonności do urabiania sobie pojęć o wszystkiem, nawet o tem, co się rozumem objąć nie da, — stara się tworzyć także pewne pojęcia o Bogu. Oczywiście, czyni to w granicach swojej indywidualności i przypisuje Bogu cechy ludzkie, — zresztą inaczej być nie może.

I gdy człowiek stara się pojąć Boga, — gdy rozważa całe dzieło stworzenia, — gdy w noc pogodną wzniesie oczy ku gwiaździstemu niebu, i pomyśli, że te miljardy słońc i planet, że nieskończoność wszechświata, a w tej nieskończoności i ziemia, i on sam i dusza jego — że wszystko to są dziedziny Boga, który trwa i trwać będzie po wszystkie czasy, zawsze i wszędzie — i w wirze mgławic drogi mlecznej i w cudzie rozwijającej się z ziarenka trawki najlichszej, — i gdy sumieniem zatarga wyrzut: czemu człowiek nieustannie, od wieków psuje piękne dzieło stworzenia — i „zmusza" Boga, aby go ciągle zbawiał i ciągle winy jego odkupywał — wtedy w sercu musi rozjarzyć się iskierka myśli: jakże znużonym — zmęczonym musi być Bóg... I gdy dalej człowiek uświadomi w sobie prawdę, że przecież i on jest drobiną Mocy Bożej, że i on powinienby brać udział w wielkiej sprawie tworzenia (bo głód twórczości jest najistotniejszą cechą pierwiastka boskości w człowieku), — wtedy z uświadomienia tego wyrasta nakaz wewnętrzny: trzeba Bogu pomóc, — trzeba wziąć na siebie atom Jego pracy.

Myśli takie, wydobyte z tajni uczuć przez poetów i pisarzy, — bytują w każdym człowieku, chociaż przeważnie są nieuświadomione, a tylko niekiedy odezwą się głosem sumienia, — i to nietylko w płaszczyźnie rozważań o Bogu.

Człowiek zdający sobie sprawę z obowiązków, jakie nakłada na niego człowieczeństwo — t. j. człowiek, który — według trafnego określenia pewnej pisarki — przestał już być „pierwotniakiem" (gatunkiem zoologicznym) również w stosunkach ludzkich odczuwa potrzebę przyjęcia na siebie cząstki pracy dla dobra powszechnego, aby „ktoś" nie był za niego i dla niego ponad miarę utrudzony — zmęczony I wtedy staje do wspólnej pracy i poczytuje sobie to nie za ciężar, lecz za obowiązek radosny.

Z tych oto myśli wywodzi się jeden z celów, jedno z zadań naszego pisma:

Chcemy pomóc Marszałkowi Piłsudskiemu!

On wziął był na siebie przed latami cały ciężar tworzenia polskiej siły zbrojnej z wiedzącą wiarą w odzyskanie Niepodległej Polski w przyszłej wojnie ludów.

On był duszą walki o Polskę w chaosie tytanicznego zmagania się narodów.

On stworzył Nową Polskę, — i On jest tej Nowej Polski duszą.

On wziął na Siebie cały trud pracy dla nas wszystkich i dla naszych pokoleń.

I tu wyłania się myśl: Jakiż to ogrom pracy! Jakże musi być On utrudzony tym odletnim wysiłkiem nadludzkim! Jakże zmęczony musi być On, — jakże nie ugnie się pod takim ciężarem? — Trzeba pomóc Marszałkowi!

Wiemy, że On na niczyją pomoc się nie ogląda, wiemy, że sam bierze wszelki trud na Swoje barki, gdy idzie o Polskę.

Ale naszym obowiązkiem jest pomagać Mu, ile sił starczy, — i współpracować z Nim, bo ta praca Jego jest pracą dla nas.

Chcemy więc pomóc Marszałkowi!

Chcemy wziąć na siebie część Jego pracy, a przynajmniej ułatwić Mu tę pracę.

I wzywamy wszystkich, którzy też może pomyśleli nieraz o tem, jak bardzo Marszałek może być utrudzony, aby pomogli Mu w Jego dziele. Chociażby nawet On tej pomocy nie żądał i nie potrzebował. Stańmy do tej pracy, wzgląd mając na nas samych, aby przyszłość nie musiała o nas powiedzieć, żeśmy korzystając z Jego pracy, nie pomagali Mu.

Kto umie patrzeć niezaślepionem okiem, ten wie, że Marszałek Józef Piłsudski jest Człowiekiem Danym od Boga. I kto pomaga Marszałkowi — ten — wierzymy — pomaga „zmęczonemu Bogu"!

Stanowisko Polski w polityce międzynarodowej.

W ostatnim czasie z wielu stron daje się słyszeć zarzut, że dyplomacja wraca do przedwojennych metod „równowagi sił", polegającej na łańcuchu przymierzy i wskazuje się, że właśnie ten system doprowadził do wybuchu wojny światowej. Dyskusja na ten temat podnosi się zawsze po każdej sesji Ligi Narodów, a źródłem jej są Niemcy i Rosja, jako najbardziej niezadowolone z działalności i wogóle istnienia tej instytucji.

Niewątpli taką grę ułatwia fakt, że między sprzymierzonemi ze sobą Rosją i Niemcami, istnieje szereg większych i mniejszych państw, na które w takiej, czy innej formie można wpływać, urabiać odpowiedni nastrój, jak to np. jesteśmy świadkami od szeregu lat pożałowania godnego widowiska, jakie ze swej polityki robią władcy Litwy, albo gwałtownych łańcuchów polityki łotewskiej, z poza których coraz jawniej daje się wyczuć złoto agentów obcych.

System przymierzy byłby zbyteczny, gdyby istniała inna forma zabezpieczenia całości państwa, jaką miał być np. protokół genewski. Ale i on nie jest zły, jeżeli traktatami przymierza obejmie się wszystkich sąsiadów, do czego wytrwale dąży dyplomacja polska, a w czem przeszkadzają jej ci, którzy mają wrogie wobec niej zamiary. Nie prędko zwolnią się od podejrzliwości narodów tak Rosja, dążąca do wywo-

łania rewolucji światowej, jak i Niemcy, które przez wyłamywanie się od zobowiązań, wynikłych z przegranej przez nie wojny, bynajmniej tej podejrzliwości nie zmniejszą. Chodzi tu głównie o spłatę odszkodowań wojennych, jeszcze nie obliczonych coprawda i przez Francję określonych na 132 miljardy franków złotych. Ponieważ według planu Daves'a w roku 1928 przypada już pełna rata spłat, ustalona na 2 i pół miljarda mk., Niemcy od kilku miesięcy przygotowują opinję światową na to, że nie będą mogły jej zapłacić. W spłatach zainteresowanych bezpośrednio jest kilkanaście państw zwycięskich, a najbardziej Stany Zjednoczone Ameryki Półn., które swój nadmiar kapitału chętnie dotychczas lokowały w „solidnych" Niemczech, a które ostatnio dowiedziały się m. in. także z raportów agenta odszkodowań Parkera Gilbert'a, że Niemcy dotychczas spłacały odszkodowania w tej wysokości, w jakiej otrzymały pożyczki, czyli nie wyłożyły swoich zasobów.

To stwierdzenie musiało dać finansistom amerykańskim wiele do myślenia i słusznie rząd amerykański domaga się obecnie ściślejszej kontroli nad gospodarką niemiecką, a przedewszystkiem ustalenia wysokości odszkodowań i wyrównania procedury co do pożyczek zaciągniętych przez Niemcy w Ameryce, jednem słowem oparcia finansowych zobowiązań Niemiec na trwałych podstawach. W takich warunkach nie dalecy będziemy od prawdy, gdy stwierdzimy, że Stany Zjednoczone niechętnie mówią o dalszych pożyczkach dla Niemiec, żywiąc obawę o los pożyczek poprzednich. Jakkolwiek mimo wszystko Niemcy swoją gospodarnością i oszczędnością umieją utrzymać w świecie korzystną opinję o sobie, to jednak ciąży nad nimi olbrzymia suma odszkodowań wojennych, która mniej więcej przez trzy jeszcze pokolenia pochłaniać będzie prawie czwartą część ich budżetu państwowego, a w roku bieżącym wynosi 23% tegoż budżetu. Trudności zatem, związane ze spłatą odszkodowań wojennych, będą stale źródłem niepokoju.

Stosunek największych państw zachodnio-europejskich do Rosji posiada również podobny charakter ze względu na przedwojenne i wojenne długi rosyjskie. Każda rozmowa Rosji z Francją lub Anglją musi rozpoczynać się od tej sprawy, również obejmującej dziesiątki miljardów franków złotych.

Wśrodku zaś tej atmosfery niepewności, między dwoma największymi dłużnikami świata, do tego niechcącymi płacić, znajduje się Polska, państwa bałtyckie i bałkańskie, obejmujące do tego terytorja ogromnie wyniszczone gospodarczo przez działania wojenne. Pas zatem tych państw, ciągnący się od Bałtyku do morza Śródziemnego jest pasem ochronnym, zabezpieczającym świat od możliwości powstania największego spisku przeciwko swobodnemu rozwojowi kultury europejskiej, któryby powstał natychmiast, gdyby głównie Polska ze swoją świetną tradycją wojenną nie stała temu na przeszkodzie, albowiem kusząca perspektywa dla Niemiec i Rosji wymuszenia orężem lub przez rewolucję wyrzeczenia się swych wierzytelności na państwach zachodnich pozostaje i pozostanie w swej pełnej mocy na długie dziesiątki lat.

W miarę jak w ostatnich miesiącach polska polityka zagraniczna zaniechała roli biernej i zgłosiła swoje żądania, ujrzeliśmy z miłem zdziwieniem, że znaleźliśmy zrozumienie dla trudnego położenia naszego kraju nawet u państw nam obojętnych. Że to zarazem skłoniło naszych jawnych i ukrytych wrogów do okazania swego złego humoru, to jest to objaw

◇◇◇

ZEMSTA

Opowiadanie z dni sierpniowych 1920 roku.

Napisał

WACŁAW JURCZYK.

Artylerzysta Walek Zawada nie bał się nikogo i niczego. Ze śmierci drwił sobie zuchwale, a z djabłem był w tak dobrych stosunkach, że często polecał mu załatwianie najżywotniejszych spraw swoich. Babom wioskowym, występującym przed nim z lamentem w obronie świętych spraw własności z powodu zafasowanej gąski jakiej lub kury, dawał krótką a wyraźną radę: Idźcie do djabła! — lub życzył najserdeczniej: Niech was djabli wezmą! — A że miał duszę prawą i myśli poczciwe, nie czuł też bojaźni przed Bogiem, chociaż matka nieraz upominał go: Walek, bójże się Pana Boga. Jeżeli zaś unikał dobrze pewnych ludzi i okoliczności, to bynajmniej nie ze strachu, lecz z powodu niewytłomaczonego wewnętrznego nakazu, który go zawsze w porę ostrzegał: trzymaj się od tych i tych ludzi zdaleka—nie rób tego lub tamtego — nie chodź tędy — wróć się.

Wiedziony tego rodzaju nakazem, nie lubił Walek koloru żółtego i unikał jak mógł spotkania z żandarmami, których przedziwna gwara żołnierska ochrzciła mianem kanarków. Gdy dostrzegł w dali mundur z żółtemi sznurkami, zawracał natychmiast z drogi, a gdy spotkania oko w oko z kanarkiem nie udało mu się uniknąć, zawzięcie spluwał trzykrotnie dla zniweczenia uroku i miał się już tego dnia na baczności: wiedział, że lada chwila może go spotkać coś niedobrego. Przekonał się o tem już niezliczone razy i nawet innych ostrzegał przed „żółtem niebezpieczeństwem". Dalekim był wszakże od uczuć nienawiści. Przyznawał, że i wśród kanarków są chłopy morowe, jednak wolał nie mieć z nimi do czynienia. Nie wiedział, że wkrótce zdarzy się coś, co zrodzi w nim nienawiść i nawet pragnienie zemsty.

**
*

W miasteczku Z., będącem czasowem miejscem postoju baterji, poznał Walek dziewczynę, jakiej w twardem życiu żołnierskiem nie zdarzyło mu nigdy przedtem spotkać. Gdzie i jak wpadła mu w oko czy też w ramiona, to do rzeczy nie należy — dość że było to dziewczę z buzią jak malina, głowę jej otaczały bujne sploty włosów złocistych, jasnych, a może nawet kruczych, oczy miała niebieskie, jak chabry — albo czarne, jak węgiel (był wtedy wieczór pogodny i cichy — i Walek nie mógł w ciemności stwierdzić tego dokładnie), usta koralowe (napewno), a zęby, jak perły — najcudowniejsza dziewczyna pod słońcem. Zresztą wszystkie dziewczyny przez polskich ukochane żołnierzy są najcudowniepsze. Zaraz

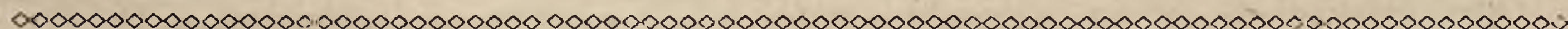
zupełnie zdrowy, a gra w otwarte karty jest o wiele łatwiejsza. Państwa zachodnie doceniają znaczenie Polski dla równowagi w środkowej i wschodniej Europie i na ostatniej sesji genewskiej mieliśmy dowód, że trafnie umieją paraliżować zakusy niemiecko-rosyjskie podtrzymywania ogniska stałego niepokoju nad Bałtykiem i na Bałkanie.

Przebieg sporu polsko-litewskiego nauczył wiele przedewszystkiem nieprzypaciół Polski, którzy najmniej się tego spodziewali, że śmiałe wystąpienie Marsz. Piłsudskiego doprowadzi do wyłączenia tej sprawy z dyskusji międzynarodowej i pozostawi ją bezpośrednim rozmowom między Polską a Litwą. Niewątpliwie to jeszcze bardziej wzmocni nacisk propagandy niemieckiej i rosyjskiej na państwa bałtyckie, a Rosja przez usta Petrowskiego, swego posła w Tallinie otwarcie zapowiada walkę z polskiem dążeniem do utworzenia bloku państw bałtyckich, którego zapowiedź widzi w zniesieniu stanu wojennego między Litwą a Polską, oraz ustąpienia rządu socjalistycznego Skujeneka — Cieleusa na Łotwie i możliwości dojścia tam do władzy żywiołów umiarkowanych. Premjer Waldemaras sam podsuma Niemcom, iż w razie przyłączenia się Litwy do Polski Prusy Wschodnie mogą uważać za stracone. Rozumie on więc położenie Litwy, ale wszystko czyni dla odwrócenia jej rozwoju dziejowego od utartego od kilku wieków łożyska współpracy z Polską.

Jednak czas pracuje wytrwale nad przywróceniem w środkowej Europie równowagi, zakłóconej przez rozbiory Polski. Powoli odrastają i rozwijają się dawne tysiącletnie drogi handlowe między Bałtykiem a Bałkanem oraz całe to terytorjum powraca do naturalnego życia gospodarczego, wypaczonego przez odwrotny kierunek rozwoju gospodarczego mocarstw zaborczych. Kraje bałtyckie oraz Bałkan najbliższe surowce, jak węgiel, żelazo, sól, naftę, posiadają w Polsce, leżącej w pośrodku między nimi. Jest to więc kompleks ziem samowystarczalnych pod względem gospodarczym, a dalej innej więcej zbliżonych pod względem kulturalnym i nawet rasowym.

W takich warunkach jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, iż Polska zajmie się wiele także stosunkami na południe od swych granic. Według pogłosek, obiegających w tych dniach prasę zagraniczną rząd polski zainteresuje się pilniej najbliższą konferencją państw Małej Ententy. Wysuwa się przy tem projekt zaproszenia także Bułgarji.

Rosja w podobnych poczynaniach dopatruje się naturalnie akcji Anglji w celu okrążenia jej i zniszczenia. Jednak nerwowość sowiecka jest przesadna, albowiem zerwanie wszelkich stosunków z Rosją przez rząd angielski dotychczas nie objawiło się niczem więcej, jak tylko dążeniem do unieszkodliwienia propagandy komunistycznej przedewszystkiem w kolonjach angielskich i w Chinach. Tylko wielkie rozdrażnienie Sowietów pozwala im na dopatrywanie się roli „żandarma kapitalistycznego" w żmudnej pracy Polski nad odrodzeniem gospodarczem swego kraju i krajów sprzymierzonych. Właśnie w Polsce życie materjalne najbiedniejszej ludności doznało największych przeobrażeń na lepsze, albowiem w państwach zaborczych całe ustawodawstwo było nastawione w kierunku hamowania rozwoju gospodarczego wszystkich polskich dzielnic. Wyniszczona wiekową niewolą, ludność polska wiele jeszcze ma do odrobienia w dziedzinie gospodarczej. Przewaga materjalna Niemiec i Rosji centralizuje się tylko tem, że mają one ogromne długi do spłacania, co pozwoli Polsce dopędzić je pod względem gospodarczym. Zadaniem



tegoż wieczora poprzysiągł Walek swej bogdance — Maryś jej było na imię — miłość dozgonną, co ubocznie mówiąc, nie przedstawia zbyt wielkiego ryzyka, gdy się jest żołnierzem formacji frontowej i gdy za kilka dni spodziewana jest walna bitwa. Maryś odpłaciła mu uczuciem wzajemnem, jako, że „chcąc zbawić swoją duszę", musiała przecież kochać chłopców — i wszystko było dobrze. Pierwsze spotkanie zakończło się umową co do miejsca i czasu schadzki następnej nazajutrz.

O schadzce tej marzył Walek noc całą , apo nocy dzień cały. Byłby to może jeden z najradośniejszych dni w jego życiu, gdyby nie pewien niepokój, który do mężnego serca walkowego zakradł się powoli i wzrastał w miarę, jak dzień miał się ku końcowi. Niepokój o to, czy uda mu się wymknąć z miejsca noclegu i zdążyć na umówioną godzinę. O przepustkę nie zamierzał nawet prosić, bo wiedział, że jej nie dostanie, — zbyt dobrze znał swego porucznika. Drżało w nim serce z radości i trwogi, jednak zewnętrznie był spokojny i przemyśliwał nad szczegółami wykonania bardzo misternego planu wysunięcia się na miasto i powrotu na nocleg. Jakoż wieczorem plan powiódł się znakomicie. Niepostrzeżony przez nikogo, wyminął Walek wszystkie warty i śpiesznie ruszył w kierunku miejsca utęsknionego spotkania, wybierając uliczki co najciemniejsze i najmniej ludne. Szedł pogwizdując sobie wesoło, — a mistrzem był w tej sztuce i naśladowanie śpiewu słowika czy kosa przychodziło mu z nadzwyczajną łatwością. Gwizdał i marzył o lubej dziewczynie i o jej ustach najsłodszych.

Zaczął padać drobny deszcz.

Z oddali dochodziły głuche odgłosy toczącej się gdzieś walki. Niskie pomruki ciężkiej artylerji raz po razu wstrząsały powietrzem.

— A może nie przyjdzie — wpełzła do mózgu bolesna myśl.

Przyśpieszył kroku.

Na zakręcie uliczki zamajaczyło światło.

I w tejże chwili Walek, który w najniebezpieczniejszych przygodach nie doznawał uczucia trwogi, zadrżał — zadrżał ze strachu.

W blasku latarni ujrzał najwyraźniej dwóch żandarmów.

— Kanarki, psiakrew!

Szrapnel pękający w pobliżu, wał gazów trujących, bomby aeroplanowe nie zrobiłyby na nim takiego wrażenia, jak to nieoczekiwane i niepożądane spotkanie.

Splunął natychmiast krzykrotnie — i zawrócił. Pędem wpadł w jakąś ciemną boczną uliczkę. Biegł pewien czas bez pamięci, straciwszy zupełnie poczucie kierunku — jednak po chwili słodka nadzieja dzisiejszego wieczoru przywiodła go do opamiętania

— Maryś pewnie mnie czeka...

Okólnemi dalekiemi drogami zmierzał na umówione miejsce.

więc polskiej polityki zagranicznej powinno być także podtrzymanie obowiązku spłaty długów przez te państwa.

Zwalczany przez Niemcy i Rosję system przymierzy i równowaga sił w polityce światowej jest dla nich niewygodny, ponieważ czują się odosobnione z powodu podzielenia się państw na wierzycieli i dłużników.

Źródłem nieustannego niepokoju w świecie są ci dwaj dłużnicy, a zły czy dobry los chciał, że najbardziej wytrwale pracują oni nad podważeniem granic Polski. Z tego powodu nie będzie przesadą twierdzenie, że dyplomacja polska więcej ma pracy przed sobą, niż poza sobą. W ostatnich tygodniach okazała ona, że umie być na czas na miejscu i dzięki stanowczości Marsz. Piłsudskiego uczyniła znaczny krok naprzód i w duchu zasad Ligi Narodów jasno określa swoje stanowisko i formułuje jasne żądania. Pod tym właśnie względem różni się stanowczo od dyplomacji przedwojennej przedewszystkiem Niemiec i Rosji, która polegała na wyrafinowanej tkance intryg i kuglarskich sztuczek. Ten system w pewnych sferach politycznych jeszcze i u nas jest uznawany za najlepszy, ale życie zadaje mu kłam.

Zarzut nawrotu do przedwojennych metod dyplomatycznych nie może zatem dotyczyć Polski. Skłania on nas do znalezienia właściwych winowajców, a takimi mogą być tylko Niemcy i Rosja, od których też ten zarzut pochodzi.

Stanowisko Polski w świecie jest takiem, jakiem je uczyni jej dyplomacja, której najważniejszem zadaniem być na miejscu na 5 minut przed, nie zaś 5 minut po, jak tego byliśmy świadkami do niedawna od samych początków naszej państwowości.

A. W.

Sztandar państwowy — płachtą?

W „Dzienniku Ustaw R. P." z dn. 28 grudnia 1927 r. (Nr. 115, pozycja 980) ogłoszone zostało „Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13 grudnia 1927 r. o godłach i barwach państwowych oraz o oznakach, chorągwiach i pieczęciach".

Czytamy w tem rozporządzeniu:

Art. 5. — Flagą władz i urzędów w kraju i zagranicą oraz zakładów i instytucyj państwowych i samorządowych jest *płachta* o barwach państwowych i t. d.

Art. 6. — Flagą marynarki wojennej jest bandera wojenna czyli *płachta* i t. d.

Art. 7. — Chorągwią piechoty i saperów oraz szkół piechoty i saperów jest *płachta* kwadratowa itd.

W następnych artykułach rozporządzenie objaśnia, co to jest sztandar pułkowy, flaga forteczna, proporzec marynarki, bandera handlowa morska i flaga statków handlowych. Wszystko to mają być płachty o barwach państwowych, o określonych wymiarach i z odpowiedniemi znakami.

Doprawdy, iż trudno byłoby wymyśleć objaśnienie bardziej niezgrabne i w dodatku nic właściwie nie wyjaśniające.

Według słownika Arcta — płachta jest to „kawał grubego zgrzebnego płótna; chusta płócienna, którą używają kobiety wiejskie do okrywania się albo owijania i noszenia dzieci; płótno osłaniające statek od deszczu albo skwaru słonecznego, okrycie płócienne szałasów, namiotów; wogóle kawał płótna, oddartego od sztuki, na różne użytki; zasłona". To „wogóle" należy tu oczywiście rozumieć w znaczeniu, ograniczonem używalnością tego „kawała płótna".

◇◇

Dziewczyna czekała.

Spocony, drżący stanął przed nią, zapominając o świecie całym i o kanarkach.

Gorące słowa — szepty — uściski.

Maryś moja jedyna!

— Walek!...

Deszcz rozpadał się na dobre.

Objął żołnierz dziewczynę ramieniem. Weszli do pobliskiej kawiarenki żydowskiej, usiedli w najbardziej oddalonym najciemniejszym zakątku.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Maryś!

Sielankę zmąciły jakieś ciężkie brutalne kroki.

Obejrzał się Walek.

Zdrętwiał.

Kanarek.

Podszedł wprost ku siedzącym.

— Papiery — przepustka —

Zachwiał się świat w posadach — zawirowało wszystko w oczach walkowych.

Sięgnął do zakładki przy rękawie — szukał coś długo, wydobył wreszcie jakiś papierek — bilet z kinematografu.

— Za mną!

Poprzez łzy ujrzał Walek po raz ostatni wystraszone oczy Marysi.

Poszedł — i... w tejże chwili poza wszelką świadomością i rozumem poprzysiągł kanarkom zemstę.

***

Od kilku dni toczył się zawzięty bój.

Szosą, wiodącą do miasta od strony terenu bitwy ciągnęły nieprzerwanym łańcuchem chłopskie wózki uciekinierów i podwody z rannymi.

Na jednej z nich leżał Walek.

W rumianej niedawno twarzy nie pozostała ani kropla krwi. Oczy miał zamknięte, usta sine. Odłamki szrapnela poszarpały mu nogi i brzuch. Śmierć z której podrwiwał sobie, zarzuciła na niego wędkę.

Na granicy miasta posterunek żandarmerji kontrolował przejeżdżających. Chłop, wiozący Walka, zatrzymał się.

Żandarm zadał jakieś pytanie.

Walek otworzył napół przytomne oczy — spojrzał — i błogi uśmiech wykwitł na umęczonej cierpieniem twarzy: poznał kanarka, który wówczas — w kawiarence — zniweczył upragnioną chwilę szczęścia.

Wydłużyły się usta walkowe i wśród gwaru drogi rozległ się najdoskonalszy tryl kanarkowy.

— Trrrrrrr.... trrr... trrrrr....

Odsunął się zawstydzony żandarm.

Otoczenie cicho zachichotało — przez łzy.

Zmęczony wysiłkiem Walek przymknął oczy. Na czoło wystąpił przedśmiertny pot, jednak na twarzy pozostało szczęście uśmiechu.

Cóż mu teraz mógł zrobić kanarek?...

Zemsta się dokonała.

Może więc być nazwany płachtą kawał płótna oddarty od sztuki, mający służyć np. do zawinięcia zbieranego w lesie chróstu, ale nei będzie płachtą płótno przeznaczone na zrobienie obrusa lub ręczników. Po zatem w słowie „płachta" tkwi też określenie pośledniejszego gatunku materjału: może to być płótno zgrzebne, barchan, — ale nigdy jedwab pięknie haftowany. Każde wreszcie słowo ma to znaczenie, w jakiem się je ogólnie używa. Płachtą zawsze nazywaliśmy kawał płótna do użytku pospolitego, gospodarskiego — i z określeniem tem kojarzymy najczęściej pojęcie czegoś nieforemnego, brudnego. Użyte inaczej ma to słowo znaczenie pogardliwe (ulubione wyrażenie endeków o sztandarze socjalistycznym — płachta czerwona).

I nie ulega wątpliwości, że gdyby ktoś (przed ukazaniem się owego rozporządzenia) powiedział o sztandarze pułkowym, że jest to płachta z białym orłem, każdy oficer poczytałby to za obrazę swego sztandaru.

Zastosowanie więc słowa „płachta" do objaśnienia, co to są flagi i chorągwie, jest w najwyższym stopniu niewłaściwe i błędne, a pozatem niepotrzebne. Bo słowa flaga, chorągiew, sztandar są tak powszechnie znane i zrozumiałe, że nie było najmniejszego powodu, aby objaśniać je słowem, które właściwie nic nie mówi, czego najlepszym dowodem jest chociażby to, że poprzednie rozporządzenie o godłach i barwach państwowych z dn. 1 sierpnia 1919 r. doskonale obyło się bez tej nieszczęsnej płachty.

Omawiane rozporządzenie układali oczywiście — prawnicy. Wiemy, że prawnicy naogół odnoszą się z pogardą do „literatury". Ale mimo to nie ubliżyliby sobie, gdyby też niekiedy zapytali o radę literatów.

Napewno nie napisaliby wtedy, że flaga państwowa jest płachtą.

Ubezpieczenie pracowników umysłowych.

W urządzeniu naszego życia społecznego został ostatnio zrobiony olbrzymi krok naprzód. Z początkiem dziesiątego roku odzyskania Niepodległej Ojczyzny rząd Marszałka Piłsudskiego dał Polsce prawo, które śmiało możnaby wpisać na jedno z pierwszych miejsc na tablicy praw polskich. Mówimy tu o rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej z dn. 24 listopada 1927 r. o ubezpieczeniu pracowników umysłowych (ogłoszone w „Dzienniku Ustaw" Nr. 106 z 1927 r. pozycja 911). Prawo to rozpocznie nową erę w życiu setek tysięcy pracowników umysłowych, którzy bytowali dotąd w nieustającym niepokoju z powodu braku jakiegokolwiek zabezpieczenia na wypadek utraty pracy lub zdolności do pracy, na starość i na wypadek śmierci. Ta niepewność jutra, a właściwie pewność niezabezpieczonego jutra — to był ciężar całego życia pracowników umysłowych. Dzisiaj ta beznadziejność się kończy. Mamy polskie prawo ubezpieczeniowe.

Nowe prawo ubezpieczeniowe obejmuje pracowników umysłowych w bardzo szerokim zakresie, a więc: osoby spełniające czynności administracyjne i nadzorcze, jako to zarządców i kierowników wszelkiego rodzaju przedsiębiorstw i zakładów, gospodarstw rolnych i leśnych, inżynierów, techników, kontrolerów, oficjalistów rolnych i leśnych, majstrów technicznch, dalej osoby uprawiające sztuki wyzwolone, personel artystyczny teatrów, orkiestr, wytwórni filmowych, dziennikarzy, personel lekarski, dentystyczny i weterynaryjny, oraz wykwalifikowany personel pomocniczy, — osoby pełniące czynności biurowe i kancelaryjne, oraz rachunkowe i rysunkowe, telegrafów, telefonistów, farmaceutów, drogistów, kasjerów, sprzedawców podróżujących, sprzedawców sklepowych, ekspedjentów, nauczycieli, personel kierowniczy i nadzorczy statków morskich i rzecznych i t. d.

Urzędnicy państwowi prowizoryczni i kontraktowi, którzy w służbie państwowej pozbawieni są praw emerytalnych, również podlegają obowiązkowi ubezpieczenia.

Wysokość składek ubezpieczeniowych oznaczona została na 8%, które pokrywać będą częściowo pracodawcy i częściowo ubezpieczeni w rozmiarach dwóch piątych, połowy i trzech piątych zależnie od wysokości płacy.

Rozporządzenie o ubezpieczeniach weszło w życie z dniem 1 stycznia r. b. i rząd przystąpił już do organizowania Zakładów Ubezpieczeń. Rozporządzenie wykonawcze Ministra Pracy i Opieki Społecznej zostało ogłoszone w Nr. 118, pozycja 1016, „Dziennika Ustaw" z dn. 31 grudnia 1927.

Obydwa rozporządzenia są zbyt obszerne, aby je można bodaj streścić w krótkim artykule. Zresztą każdy pracownik umysłowy we własnym interesie powinien poznać obydwa rozporządzenia w całości. Dlatego radzimy: każdy niech kupi sobie jak najśpieszniej obydwa numery „Dziennika Ustaw" Nr. 106 i Nr. 118 z 1927 r. (Cena 1 zł. i 75 gr.) — i niech pozna najcenniejsze dla siebie prawo ubezpieczeniowe w oryginale. Będzie to lektura najciekawsza — i najbardziej w dzisiejszych ciężkich warunkach pokrzepiająca.

Zaznaczyć też należy, że rząd opracował już również projekt prawa ubezpieczeniowego dla robotników. Prawo to też niedługo ma być ogłoszone — i wtedy całość jednego z najbardziej ważnych zagadnień społecznych zostanie ostatecznie rozwiązana, zapewniając polskiemu ogółowi pracującemu przyszłość jaśniejszą i spokojną, bo zabezpieczoną powagą prawa państwowego.

Wędrówka po szpaltach prasy.

Kilka razy do roku — zwykle na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i na Zielone Świątki — przemieniają się dziennikarze w najniewinniejsze białe baranki i piszą wtedy bardzo piękne i strasznie podniosłe artykuły wstępne o Dzieciątku w stajence, o Zmartwychwstaniu, o darach Ducha Świętego, — często też przytaczają cytaty z ewangielij, wskazują na zasady Chrystusowe i nawołują do miłości bliźniego. Cóż jednak z tego, skoro ci sami dziennikarze, gdy tylko znajdą

się we własnej skórze, potrafią w tych samych gazetach uraczyć czytelnika doborem takich wyrażeń, że przy najlepszej woli niepodobnaby się w nich dopatrzeć, już nie miłości bliźniego, ale bodaj szacunku autora dla samego siebie. — W jednem z pism warszawskich w dwa dni po ślicznym artykule o gwiazdce betleemskiej znaleźliśmy np. na jednej tylko stronie taką kolekcję: bandytyzm polityczny, notoryczny bandyta pióra, zbir sanacji, bagno (o dzienniku), — wszystko to powtórzone po kilka razy, a przytem co kilka wierszy przymiotnik „bandycki" w różnych odmianach.

Ale to drobiazg. — Utalentowany dziennikarz, gdy zechce, znajdzie znacznie obfitszy słownik. Posiadamy zachowany dla studjów nad „stylem dziennikarskim" numer jednego z „poważnych organów prasy", w którym chyba osiągnięto rekord światowy dosadnego posługiwania się słowem. Na łamach trzech stronic znaleźliśmy tam okrągłą setkę niesłychanie pomysłowych wyrażeń w rodzaju: hochstapler, złodziej literacki, leniuch, wałkoń, analfabeta z ukończonym kursem kucia koni, zbir, publicystyczna dziewka uliczna, arcykanalja, łotr, płatny zbir, ruda małpa, oszust, szalbierstwo, brukowość, zżydłaczona umysłowość, łajdactwo, łajdacki cynizm, plugawy fiakerblat, rynsztok i t. d., aż do okrągłej setki na trzech stronicach. A wszystko to powiedziane o dziennikarzach i dziennikach.

Sprawiedliwość nakazuje nam zaznaczyć, że owe trzy stronice nie są wypełnione jedynie tylko wyrażeniami w rodzaju przytoczonych. Znajdujemy tam także następującą samoocenę dziennika: „Niesiemy społeczeństwu zdrową strawę, niesiemy czystą niezależną myśl polską".

Ludzie dorośli nie wierzą, aby z igły można było zrobić widły, a jednak „dziennikarze" i to potrafią. — Zdarzyło się niedawno, że jakiś obłąkany żydek dostał się do jednego z kościołów i zrzucił z ołtarza kilka lichtarzy i świec. Żydka oczywiście aresztowano, spisano protokół i sprawa skończona. — Zdawałoby się, że wypadek taki może dostarczyć dziennikowi materjału najwyżej na 5 lub 10 wierszy. — Znalazł się jednak dziennikarz, który w jednym z organów prasy zdołał o tym wypadku napisać bardzo poważny artykuł aż o 139 wierszach. — I to jak napisać? — Tutuł wielkiemi literami: Warjat czy prowokator? — Na wstępie 28 wierszy o tem, że w roku 1881 w kościele Św. Krzyża ktoś krzyknął „wody!" i że zginęło wtedy 16 osób i że potem był pogrom żydów.

W dalszym ciągu czytamy: „Wczoraj zdarzył się wypadek, wprawdzie odmienny, mający jednak wszelkie znamiona pokrewieństwa z wydarzeniem z pod pół wieku. To też nie może się nie nasuwać pytanie, w czyim interesie leży w obecnym okresie przedwyborczym podsycanie nienawiści plemiennej, chociażby kosztowną drogą ordynarnej prowokacji... Zewnętrzni wrogowie Polski pracują potwornie nad wewnętrznym u nas zamętem". — Potem następuje dopiero opis wypadku w 77 wierszach.

Czy to nie są widły uczynione z igły? — Zamęt wewnętrzny, wrogowie zewnętrzni, prowokacja, nienawiść plemienia, okres przedwyborczy, omal nie Liga Narodów — i to wszystko z powodu jakiegoś żydka-warjata.

Nasuwa się tu pytanie: a czy przypadkiem taki opis wypadku nie jest właśnie sianiem zamętu wewnętrznego?

Przed świętami Bożego Narodzenia jacyś ludzie pobili Adolfa Nowaczyńskiego. Gazety opisały ten wypadek, wyrażając przytem — w mniej lub więcej mocnych słowach — zupełnie słuszne oburzenie. Ale niektóre pisma nie poprzestawszy na tem, wałkują tę sprawę do dnia dzisiejszego, pozwalając sobie przytem na wielkie niesmaczne wycieczki w stronę obozu zwanego przez pewne odłamy pogardliwie „obozem sanacji", a nawet w stronę rządu. Robią z wypadku „wielką politykę". I w tem jest typowo dziennikarska — w danym razie metodyczna — przesada. Przypadek Nowaczyńskiego tem się tylko różni od innych tego rodzaju przypadków, że pobity został dziennikarz ogólnie znany (aż nadto znany). Pozatem bowiem niema w tym napadzie nic szczególnego: jacyś ludzie, mający bądź osobiste porachunki z Nowaczyńskim, bądź też namówieni przez kogoś, wywieźli go w odludzie i pobili. Takie wypadki zdarzają się przecież częściej. Niema prawie tygodnia, aby gdzieś na Woli, czy na Pradze jakiś Antek nie załatwiał swoich pretensyj do jakiegoś Bronka — pałką, nożem lub nawet rewolwerem — i tego rodzaju porachunki są równie oburzające, jak napad na Nowaczyńskiego. Pozatem charakterystyczne jest, że tendencja do wyolbrzymienia całej sprawy i do nadania jej tła głęboko politycznego znajdujemy tylko w pismach, będących organami tych sfer, które najmniej mają prawa do oburzania się, tych grup, które błotem obrzucały pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej, które wieńce i kwiaty znosiły na grób mordercy, które w zabójcy widziały bohatera.

Sprawcy napadu na Nowaczyńskiego zasługują bezwzględnie na potępienie i na najsurowszą karę, — ale nie różnią się oni niczem od tych dziennikarzy, którzy stale uprawiają napady na szpaltach gazet, i którzy mniemają, że są godni szacunku. Narzędzie napadu nie odgrywa tu żadnej roli: nie mniejszą krzywdę niż pałką czy rewolwerem można wyrządzić człowiekowi także piórem dziennikarskiem.

CENA PRENUMERATY: w Warszawie, na prowincji i zagranicą: miesięcznie 1 zł. 60 gr., kwartalnie 4 zł. 80 gr.

Księżom, urzędnikom państwowym, nauczycielom i akademikom przysługuje zniżka 25%.

CENA OGŁOSZEŃ: cała strona 600 zł. i w tym stosunku każda część strony.

Adres Red. i Admin. **Warszawa, Hoża 41.**

Redaktor **Roman Pytlasiński.** Wydawca **Hipolit Konstanty Ożarowski.**

Druk Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3, tel. 44-59.

Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem